Nr. 30. Lwów dnia 24. Sierpnia 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. - kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w *„Świcie“* wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Mowa JULIUSZA SIMONA.

Uważamy za stosowne podać naszym czytelnikom mowę, jaką powiedział francuzki Minister Oświecenia przy rozdaniu nagród uczniom wyższych zakładów naukowych Francyi. Widzimy w tej mowie znakomitą i natchnioną obronę najcenniejszych dóbr moralnych ludzkości w obec rwącego prądu chwili, widzącej skuteczny rozwój cywilizacyi wyłącznie w uprawie nauk przyrodniczych i pozytywnych, które wytwarzając w człowieku wiedzę, nie dają mu jeszcze charakteru i obywatelskiej cnoty.

* * *

Panowie! Gdybyśmy się byli zgromadzili w podobnym dniu przed rokiem, ktoby z nas był naówczas upewniony o powodzeniu Francyi? Trzynaście departamentów zajętych, dług pięciu miliardów do spłacenia, nie licząc miliardów potrzebnych na likwidacyę, 300.000 wojska w pruskiej niewoli, 30.000 powstańców uwięzionych na pontonach, pomniki zgruchotane, pracownie zamknięte, magazyny spalone lub zrabowane, ruina publiczna zwiększona rozprzężeniem rodziny — oto stan, do którego przywiodły nas krótkie miesiące klęsk!

Dzisiaj porządek dostatecznie utrwalony, prawo tak szanowane, rząd tak silny a przemysł tak ożywiony, że świat ofiaruje nam chętnie żądaną pożyczkę w trzynastorazowem pomnożeniu. Jeżeli klęska była bezprzykładną, odrodzenie w tak krótkim czasie graniczy z cudownością. Teraźniejszość jest zapewnioną: nie zdziwicie się, jeżeli w gronie młodzieży i jej nauczycieli powiem, że myśleć nam wypada o przyszłości. Ruiny otaczają nas dokoła. Musimy cierpieć, działać, pokutować. Ostateczne zbawienie ojczyzny zawisło od pokolenia, które z rąk naszych wyjdzie. Odpowiedzialność ciała nauczającego, zawsze tak potężna, pomnaża się w tej chwili o cały ogrom klęski.

Nie znajdziesz jasno patrzącego umysłu, któryby tego nie pojął; pytanie jednak, czy potrzeba w tym celu z gruntu przekształcać nasz Uniwersytet, czyli zachowując go w stanie obecnym, utwierdzając go jeszcze w warunkach bytu, stanowiących jego dzisiejszą podstawę, wymagać odeń tylko, aby pozostał wiernym swej przeszłości i aby się okazał jej godnym? Uniwersytet bywa nagabywanym ze wszech stron: jakżeby mogło być inaczej? Wszak jest on zewsząd otoczony żywiołami rywalizacyi a w rękach swoich dzierży najdroższe interesa ojczyzny i rodziny!

W latach 1815, 1820, 1822, 1824, 1846 nagabywano go srożej, aniżeli dziś jeszcze. Każda reakcya pragnęła go przytłumić, każda rewolucya pragnęła go nagiąć do swoich usług i przekształcić na swe podobieństwo. Mądrość jednak polega na tem, aby go zachować, ulepszając—taki jest cel przynajmniej, jaki sobie założyłem. Mimo krytyk, których bywa ofiarą, czasem zasłużoną, poważam go i podziwiam.

Nie mojem będzie zadaniem wymierzyć weń cios stanowczy, albo nim zatrząść: ambicya moja ogranicza się na tem, aby go bronić, ażeby nadać siłę jego postanowieniom, aby odnowić jego program i metodę, nie zmieniając ich ducha i radząc się jego wskazówek. Ma on już za sobą uświęcenie przeszłości. Powtarzają, że Uniwersytet został wzniesiony gieniuszem Napoleona. Twierdzenie niedokładne. Wszystkiego prawie, co stanowi wielkość Uniwersytetu, nasiona tkwią w sławnych dwóch raportach, z których jeden był złożony przez Talleyranda Konstytuancie, drugi przez Condorceta Zgromadzeniu prawodawczemu.

Dwa te raporty nie różnią się tak znacznie, jakby można sądzić, gdyż ich autorowie dosyć oświeceni, ażeby uznać wartość tradycyi w rzeczach wychowania, natchnęli się obydwaj duchem starego Uniwersytetu paryzkiego, który był im wybornie znanym. Właściwie mówiąc, Napoleon Uniwersytetu nie stworzył: stworzył on tylko monopol, który, dzięki Bogu, już nie istnieje. Chwałę jego—a jest ona wielką!—stanowi to, że nadał Uniwersytetowi bardzo niedostatecznie utwierdzonemu przez Zgromadzenie republikańskie, życie i trwałość, którę, jak mam nadzieję, przechowa zawsze dla szczęścia mojej ojczyzny. Tacy mężowie, jak Fontanes, (którego mogę cenić jako administratora, jeżeli nie jako polityka), Royer-Collard, Guizot, Villemain, Cousin, rządząc nim kolejno, starali się go ulepszać, a nie przekształcać.

Rządy, które sądziły się być rewolucyjnymi, zniosły szkołę normalną, naukę historyi i filozofii, Radę królewską, rękojmie stanowiące bezpieczeństwo profesora i swobodę nauczania: szczęściem zdrowy zmysł powszechności wymierzył sprawiedliwość tym reformom i szybko przywrócił dawny porządek rzeczy.

Mamy więc organizacyę stu lat prawie domierzającą, tradycye poświęcenia i pracy, będące najchwalebniejszem i najniezbędniejszem dziedzictwem każdej korporacyi, programy nauk, jakkolwiek głęboko obmyślone przez najdzielniejsze umysły naszego kraju, mogące jednak przyjąć bez obawy każde ulepszenie, system egzaminów i konkursów bez wątpienia wyższy po nad zwyczaje wszystkich współubiegających się z nami uniwersytetów; toż nie pozwalajmy zmiennym prądom opinii i namiętnościom politycznym zmieniać organizacyę tak potężną i wnosić zamięszanie i chaos w łono świata, któremu spokój i trwałość są dobrem tak niezbędnie potrzebnem. Pamiętajmy, że, aby człowiek dorósł z czasem do używania wolności, powinien zacząć od posłuszeństwa, i że należy go wzwyczajać tak w rodzinie, jak w lyceum, będącem jej obrazem na większą miarę, do pewności metod, do siły postanowień, do trwałości zasad.

Gdyby owi mężowie, których kocham i których podziwiam, powrócili naraz do sal tych, odpoznaliby z łatwością ten Uniwersytet, który dzierżyli niegdyś w swej dłoni potężnej. Straty materyalne, jakieśmy ponieśli, ten rodzaj wstrząśnienia umysłowego i moralnego, które wywołuje wojna, a szczególnie wojna domowa, to wszystko znikło po jednym roku dobrej i roztropnej administracyi — mówię tu słowo uznania dla moich współpracowników. Jesteśmy znów przy pracy z tymi samymi zasobami, tym samym zapałem, tą samą żądzą ulepszeń, albo raczej pragniemy wykonywać rzeczy dawne z nową energią i zastosować nasze usiłowania do zmnożonych potrzeb ojczyzny.

Chciałbym teraz zdać sprawę z kilku usiłowań już podjętych w celu ulepszenia nauki w szkołach średnich (*l' enseignement sécondaire*). Przyznają to powszechnie, że Uniwersytet udziela dostatecznej znajomości matematyki, fizyki, chemii i nauk przyrodniczych; ale czynią mu zarzut, że nazbyt poświęca czasu nauce języków martwych, że źle ich uczy, że pomija zupełnie języki żyjące, zaniedbuje geografię albo ją sprowadza do jałowej nomenklatury. Twierdzą wreszcie, że nasi uczniowie nie znają nawet historyi własnego narodu.

O jakich tu uczniach mowa? Jeżeli o uczniach szkół początkowych, zarzut jest słusznym. W znacznej liczbie tych szkół geografia jest przedmiotem zaniedbanym albo wyłożonym w sposób godny politowania; nauka zaś historyi jest do tak szczupłych sprowadzoną rozmiarów, że byłoby lepiej nic nie wiedzieć, aniżeli posiąść tę wiedzę urojoną.

Ale ja tu nie mówię o nauce początkowej, która wymaga istotnie reform poważnych i głębokich, a o które jesteśmy gotowi, jak to wiedzą, przyjąć wszelką polemikę. Mówię o urządzeniu szkół drugiego stopnia, i byłoby rzeczą bardzo niesłuszną zapoznawać postępy dokonane od lat trzydziestu w nauce historyi. Jest ona wykładaną przez nauczycieli, od których tyle chyba możemy żądać, aby nie rozwijali z katedry całej swej wiedzy od razu, aby się stosowali raczej do wyobraźni uczniów, aniżeli do ich pamięci i aby w szerokich rysach rozwijali przed nimi przeważne chwile dziejowe, tak, żeby później, gdy nauka dobrowolna uzupełni i rozszerzy te ogólne wiadomości, fakta układały się w umysłach podług naturalnego porządku chronologii, który, skutkiem woli Opatrzności, jest zarazem porządkiem czystej logiki.

Historya, byle tylko nauczyciel umiał jej naukę uprościć i uogólnić, jest prawdziwą szkołą życia; ona umacnia zdrowy rozum i bystrość myśli. Przygotowuje do filozofii, do prawa, do polityki: dostarcza im zarazem wytłumaczenia faktów i dowodów na poparcie teoryi. Ona nie może bez postradania swej wzniosłości i swej przejrzystości, ulatniać się w szczegóły drobiazgowej erudycyi.

Wystarcza, aby się oparła na dokładnej chronologii i na geografii. Obowiązkiem jest naszym nadać geografii nową jasność i nową gruntowność. Wydzielimy jej też zarówno, jak historyi, więcej czasu w programie szkolnym, a co więcej znaczy, przygotowujemy, dzięki zasobom, jakie nam z rozumną wspaniałomyślnością oddało w ręce Zgromadzenie narodowe, mapę Francyi, która nie będzie miała sobie równej, a którą pokryjemy ściany naszych zakładów naukowych.

Co do nauki języków żyjących, udzielanej dotąd w klasach najwyższych w godzinach nadzwyczajnych i bez rękojmi, jaką daje obowiązkowy egzamin, nie wydawała ona prawie żadnych skutków. Nie wahaliśmy się przeto uczynić ją przedmiotem obowiązkowym, już dla najmłodszych dzieci, w tych samych warunkach, co nauka języka francuskiego lub klasycznych, i sądzę mieć tu prawo do wyrażenia nadziei, że za lat kilka, ani jeden młodzieniec nie opuści kolegium, nie władając zupełnie językiem niemieckim lub angielskim. Są to, panowie, ulepszenia w rozmiarach skromne, a jednak wybaczcie, żem o nich mówił, bo są zarazem bardzo użyteczne.

(Dok. n.)

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Z pomocą Jagusi odemknięto paczkę i Adam wyjął z niej ostrożnie dość dużą spiżową figurę, przedstawiającą jakąś boginię, która w ręku trzymała wahadło, na końcu którego wisiała ciężka kula. Koniec wahadła był przyczepiony do niewielkiego zegaru, na którym bogini miała opartą nogę. Za pomocą tego przyrządu zegarowego wahadło z kulą poruszało się poważnym ruchem w ręku nieruchomego posągu.

— Jak to wspaniale wygląda — mówiła Stasia ucieszona przypatrując się posążkowi. Dziecinna radość malowała się na jej twarzy. — Zda się, że ta figura żyje i rzutem zegaru przemawia jakieś słowa poważne, głębokie, jak wieczność, którą odmierza. Jaki ty masz gust Adamie! To tylko artysta taki jak ty mógł taki wybór zrobić.

Adam uśmiechnął się pobłażliwie z dziecinnego zachwytu Stasi, wziął statuę i przeniósł do pokoju matki. Tam wspólnie ze Stasią ustawili ją na stoliku pod lustrem i oboje po cichu wynieśli się, aby ich matka nie zastała tam, skoro wróci i miała więcej zdziwienia z tej niespodzianki, jaką jej przygotowali.

Gdy wrócili do pracowni, Adam wyjął z pomiędzy rzeczy pudełko i otwierając je rzekł do Stasi:

— A to dla ciebie.

— Dla mnie? — zarumieniła się po uszka i zajrzała do pudełka.

Na aksamitnej poduszeczce leżały dwa kolczyki ze złotych drucików w kształcie gniazdek plecione. W gniazdeczkach były ptaszki ze szmaragdów i rubinów misternie złożone a pod nimi jajka z drobnych perełek.

— Ach, jakież to prześliczne! — zawołała biorąc ostrożnie w ręce kolczyki i oglądając je z zachwytem.— Ależ ja tego przyjąć nie mogę. To musi być bardzo kosztowny prezent.

— Łatwo przyszedłem do niego. Wymalowałem za niego całą familię jubilerowi, począwszy od prababki do niemowląt. Gruby jubiler cały salon udekorował sobie portretami i z radości ofiarował mi najnowszą i najgustowniejszą rzecz, jaką miał w sklepie. Chętnie przyjąłem to, bo pomyślałem zaraz, że się tobie spodoba i będzie ci w tem bardzo dobrze.

— Więc myślałeś wtedy o mnie? — spytała rozrzewniona.—W takim razie przyjmuję. Będzie to wielka dla mnie pamiątka.

Uścisnęła mu serdecznie rękę. Słowa jego więcej jeszcze ją cieszyły, niż prezent. Chciała podzielić się swojem szczęściem z matką i pobiegła do niej.

Adam patrzał za biegnącą rozmarzony, szczęśliwy i rzekł do siebie:

— I czegoż więcej żądać mogę od niej? Byłbym niewdzięczny, gdybym był niezadowolony z tego nieba, jakie mam tutaj.

O nieznajomym rywalu już nie myślał w tej chwili.

Tak rozpoczął się pierwszy dzień pobytu jego w miejscu, które w uniesieniu nazwał niebem swojem.

W parę dni potem — a była to niedziela — Adam wybrał się do katedry. Poszedł tam sam, by swobodniej mógł napatrzyć się wspaniałym i drogim pamiątkom, jakie wieki składały w tem muzeum narodowem, by odświeżyć w pamięci te czasy, w których dzieckiem jeszcze chodził ze ezcią po marmurowych posadzkach świątyni, i odbierał pierwsze wrażenia, pierwsze artystyczne natchnienia. Stasia odchodzącemu przypomniała, że go czekać będą z obiadem, że ma urlop do pierwszej godziny.

W czasie jego nieobecności ów kocz, który tyle razy obserwowali mieszkańcy przedmieścia, zatrzymał się znowu przed mieszkaniem wdowy i wysiadł z niego jednooki major, którego już bliżej poznaliśmy i córka jego i weszli do dworku.

Ewa była koleżanką Stasi. Za powrotem majora w Krakowskie znajomość ta odnowiła się i odtąd wracając z kościółka lub z miasta Ewa zawsze odwiedzała przyjaciółkę, czemu nie sprzeciwiał się major, gdyż i jemu w dworku wdowy czas bardzo przyjemnie schodził na pogawędce, i kto wie czy mieszkańcy przedmieścia nie słusznie podejrzywali majora o małżeńskie zamiary. Wnosząc z jego obejścia się względem wdowy zdawać się mogło, że miał podobne zamiary, ale nie wydawał się z nimi zbyt wyraźnie może dlatego, że nie był pewnym wzajemności, a może też czekał, aby pierwej córkę wydać za mąż.

Tym razem wizyta majora przeciągnęła się nieco. Chciał się poradzić wdowy względem przyjęcia gospodyni.

Panienki tymczasem bawiły się rozmową. Ewę uderzyły zaraz na wstępie kosztowne kolczyki, które Stasia dziś miała w uszach. Zdziwił ją także wspaniały zegar, który zwrócił zaraz jej uwagę, gdy weszły do pokoju matki Stasi. Zdziwiły ją te nowości i obudziły pewne podejrzenia, z któremi długo ukryć się nie mogła.

— Jakież tu u was zmiany — rzekła. — Jakieś nowe amplety? Od kogoż to, jeżeli wolno spytać?

— Kuzynek nasz wrócił niedawno z zagranicy i przywiózł nam te prezenta — odpowiedziała Stasia ze szczerością.

— Kuzynek? A może coś więcej niż kuzynek?— spytała badając Stasię. — Spiekłaś raczka. A więc zgadłam.

— Nie zgadłaś moja droga. Lubo ci się przyznam szczerze, że gdyby się oświadczył o mnie, ani chwili bym się nie wahała i wiem, że byłabym z nim bardzo szczęśliwą. On taki dobry.

— Czy bogaty? — spytała chłodno Ewa.

Pytanie to niemile drasnęło Stasię.

— Nie — odrzekła — utrzymuje się z pracy rąk; jest artystą.

— I mówisz, że byłabyś z nim szczęśliwą! Ja przyznam ci się nie pojmuję szczęścia bez majątku.

— A wszakże pan Zygmunt także nic nie ma?

— To też nie idę za niego.

— Nie idziesz? On cię tak kocha.

— Do znudzenia. Ten człowiek jest w stanie zamęczyć miłością. Nie umie mówić o niczem, tylko o tej swojej miłości. A to przyznasz na kochanka nawet za nudno, cóż dopiero mówić na męża.

— A jednak on bywa u was ciągle.

— Jakże chcesz, żebyśmy go wyrzucili!

— Nie; ale powiedzieć mu, żeby sobie nie robił żadnej nadziei, skoro go nie kochasz.

— Toby mi nie przeszkadzało iść za niego, skoro będzie bogatym. Ale zdaje się, że do tego nigdy nie przyjdzie. Ciotka jego będzie żyć wiecznie. A ja czekać nie myślę.

Stasia ścierpnęła cała słysząc Ewę tak zimno, chłodno rozprawiającą o uczuciu, które ona uważała jako świętość.

— Biedny pan Zygmunt—rzekła z westchnieniem.

— Tak, a gdybyśmy się pobrali byłoby nas dwoje biednych. Nie rozumiem takiego życia. Lepiej nie żyć, jak żyć byle jako. Nie chciałabym za nic w świecie tak żyć. Nie pojmuję szczęścia bez wojażów, powozów, majątku, bez zabaw i brylantów.

— A miłość nic u ciebie nie znaczy?

— Owszem. Ale miłość mogę znaleźć mając to wszystko.

— A jeżeli nie trafi ci się taki mąż?

— To pójdę choćby za paralityka, za zgrzybiałego starca, aby tylko z majątkiem.

— I będziesz go kochać?

— Jaka ty naiwna moja Stasiu. Będę kochać takiego, który mi się spodoba.

— Ależ to grzech — zawołała ze świątobliwą zgrozą Stasia.

— Jaki grzech? Grzechem jest to, co szkodę przynosi. A miłość moja nie przyniesie szkody ani mnie ani memu mężowi. Będę dla niego żoną, to mi nie przeszkadza być kochanką dla innego.

— Dobrze, że mama moja nie słyszy cię, boby mi nie pozwoliła wdawać się z tobą. Tyś się bardzo zepsuła moja Ewuniu.

— Nie, tylkom się zrobiła praktyczną. Gdybym była bogatą, może byłabym lepszą; wybierałabym według upodobania tak, jak chcesz, podług serca. A że tak wybrać nie mogę, że muszę iść za tego komu się spodoba ofiarować mi swoją rękę i swój majątek, mamże dla tego całe życie być jego niewolnicą, sprzedać się nietylko ciałem ale i duszą? Zaprzeć się własnych skłonności? O! nie, moja droga.

*

— Dlaczegoż koniecznie chcesz iść za mąż?

— Bo ze starych panien świat się śmieje. A chcę być bogatą, żeby się śmiać z innych, żeby być niezależną od nikogo. Tyś nie doświadczyła, co to jest być zależną. Jesteś ciągle przy matce, która cię kocha. Ja matki nie mam, nie znałam jej nawet. Gdybym ją miała, może byłabym inną. Ale żyjąc prawie sama, bo jak wiesz przy ojcu dopiero jestem od lat paru, poniewierając się między ludźmi, nauczyłam się rachować. Gdybyś widziała tak, jak ja, młodych elegantów, paniczyków, którzy umizgali się do najpotworniejszych elewek moich, dlatego tylko, że miały pieniądze, a mnie ignorowali prawie, lub darzyli z łaski względami swemi dlatego, że byłam tylko guwernantką, nie dziwiłabyś się, że tak pragnę majątku, że chcę mieć to, co na świecie najwięcej warte.

Kiedy to mówiła Ewa, a mówiła żywo, z zapałem broniąc się w oczach przyjaciółki — drzwi się otwarły i wszedł Adam. Zmięszał się zobaczywszy Ewę — ona również nie spodziewała się go tu spotkać i zrobiła duże oczy. Chwilę jakąś nie wiedzieli, co powiedzieć. Uwolniła ich z tego kłopotliwego położenia Stasia pospieszywszy przedstawić Ewie Adama.

— A wszakże ja już mam przyjemność — rzekła Ewa podając rękę przybylemu.

— Jakto, znacie się państwo?—spytała się Stasia.

— Czy pan Adam nie wspomniał ci o tem?

— Nie — odrzekła Stasia patrząc zdziwiona na zmięszanego tą sceną kuzynka.

— Jakto? Pan nie przyznałeś się, że byłeś u nas kilka dni temu?

Stasia spojrzała znowu na Adama pytającym wzrokiem.

— Kiedyż to być mogło? — spytała Stasia biorąc twierdzenie Ewy za pomyłkę.

— Zdaje mi się, że to było we środę. Wszak tak panie Adamie.

— Tak — odrzekł Adam spuszczając oczy, by się nie spotkać ze wzrokiem Stasi wpatrzonym w niego dziwnie.

— Był u nich we środę, a więc mówił nieprawdę, że przepędził noc w Krakowie. Jakiż powód tajenia się?

To odkrycie boleśnie ścisnęło jej serce. Nie podejrzywała nigdy Adama, że może mówić nieprawdę.

— A otóż i nasz zbieg—odezwał się major, który z matką Stasi wracał z drugiego pokoju.—Jak się masz chłopcze. No, teraz nie dziwię się dlaczegoś się tak wyrywał do Krakowa — mówił patrząc to na niego, to na Stasię. — Wyszła oliwa na wierzch. Złapaliśmy cię bratku.

W czasie kiedy stary major niewinnymi żartami nabierał Adama, Ewa stojąc na boku obserwowała jego pomięszanie, w duszy mówiąc do siebie:

— A więc tu jest ten raj, o którym mówił.

Odkrycie to nie musiało jej być przyjemnem, bo oczy surowszy przybrały wyraz, a białe i delikatne jej rączki szarpały bezwiednie cienką chusteczkę.

Adam unikał zbliżenia się do Ewy. Przypadek jednak zrządził, że kiedy wyszli we troje do ogrodu i Stasia na chwilę opuścić ich musiała zawołana przez matkę — zostali sam na sam ze sobą. Adam był zakłopotany mocno tem położeniem zwłaszcza że Ewa wpatrywała się w niego tak dziwnym wzrokiem, że ten wzrok mięszał go i rumienił. Milczenie czyniło jeszcze wymowniejszem jej spojrzenie. Po chwili Ewa rzekła:

— Musiało panu bardzo źle być u nas, panie Adamie, skoro tak prędko uciekłeś nie pożegnawszy się nawet. Sam pan przyznasz, że to nie było bardzo grzecznie.

— Sądziłem, że pani...

Przerwała mu szybko i rzekła:

— Nie tłómacz się pan; wiem dlaczego pan wróciłeś. Ale można było pogodzić wszystko. Tu będą pana mieli zawsze, my chcieliśmy cieszyć się bytnością pańską choć na krótko. Odjazd pański zasmucił mnie, przyznam się panu, bo mnie przekonał, że nie umiałam pana zabawić. Dla młodej kobiety to nie bardzo pochlebne. Wiesz pan, że jesteśmy próżne i chciałybyśmy zawsze zwyciężać, choćby na krótko.

— Sądzę, że pani na brak zwycięstw skarżyć się nie możesz.

— Ja? Kto panu mówił o tem?

— Tak się domyślam.

— O! nie; pan nie powiedziałeś tego z prostego domysłu. To było ze znaczeniem powiedziane. Pan rozmawiałeś z kimś o mnie, przecież nie ze Stasią? Prawda, pan w obec niej wyparłeś się mnie, jak Piotr Chrystusa.

Pomyślała chwilkę i wtedy brwi jej zbiegły się nad oczami, jakby nad cichą naradą. Naraz spytała:

— Czy nocował kto obok pana tej nocy, w której pan bawiłeś w naszym domu?

Adam nie myślał grzeszyć i rzekł z naciskiem nawet.

— Tak jest, nocował.

— Zygmunt?

— Tak, mój kolega szkolny.

— A, on jest pańskim kolegą. Teraz rozumiem dlaczego pan uciekłeś od nas tak nagle. Musiał panu niestworzonych rzeczy na mnie nagadać i przeląkłeś się pan mnie, jak potwora. Czy nie tak było?

Adam milczeniem zdawał się potwierdzać jej słowa. Ona mówiła dalej.

— Podziwiam pod tym względem łatwowierność panów. Gdybyśmy miały was sądzić z opowiadania tych kobiet, dla których byliście nieczułymi, powinnybyśmy znienawidzić was dawno. A jednak tego nie robimy. Każda na własną rękę powtarza doświadczenie.

— Więc Zygmunt...

— Ach, nie mów mi pan o nim. Nudny jak lukrecya. Dlatego, że nie umiałam dla niego być dość niegrzeczną, uroił sobie Bóg wie jakie pretensye i kompromituje mnie przed światem.

— Więc pani go nie kochasz?

— Ja? — roześmiała się ironicznie. — Trzeba być zarozumiałym, jak pan Zygmunt, aby z mego postępowania z nim wywnioskować miłość. Gdybym pokochała kogo, nie potrzebowałby się domyślać tego, mógłby to poznać z każdego drgnienia mego oka, z każdego słowa mojego, bo nie umiałabym kochać przez połowę. Dla mnie taka miłość byłaby życiem, koniecznością; ale człowiek, któregobym pokochała taką miłością, musiałby być wart tego i umieć się cenić. Taki co tylko narzekać umie i prosić, zda się prędzej na dziada kościelnego, jak na kochanka.

Mówiła z takiem ogniem te słowa, że nie można było wątpić w ich prawdę. Była to rzeczywiście jedna z tych natur, w których miłość jest namiętnością, burzą, ogniem. Można było uwierzyć w jej gwałtowność i niszczącą potęgę, ale nie w trwałość. Adam patrzał na mówiącą z rozkoszną trwogą, to co mówiła przestraszało go, ale i pociągało zarazem. Pierwszy raz zdarzyło mu się słyszeć kobietę tak jawnie i śmiało mówiącą o uczuciach, z któremi inne się kryją lub mówią o nich ze spuszczonemi oczyma i rumieńcem na twarzy. To śmiałe odkrycie się działało na zmysły jego jak odkrycie

sukni. Rozmowa zaczęła już działać na niego. Szczęściem nadeszła Stasia. Ewa w tej chwili zmieniła przedmiot rozmowy i nim Stasia doszła do nich, rozpoczęła z nim mówić o sztuce.

— Czy wolno wiedzieć — spytała — nad czem pan teraz pracujesz?

— Ach, prześliczną rzecz rozpoczął — rzekła Stasia, która nadchodząc usłyszała pytanie. — Widziałam szkicę.

— I cóż przedstawia? — spytała Ewa przyjmując zapał Stasi z lekkim uśmiechem ironii.

— Dwie rywalki. Ale to się nie da opowiedzieć. Chodź, zobacz.

Wzięła ją za rękę; naraz zatrzymała się, spojrzała na Adama jakby go chciała przeprosić za tę śmiałość swoją i dodała:

— Jeżeli Adaś pozwoli.

Adam oczami przystał i poszli razem do jego pokoju. Obraz ów właśnie stał na sztaludze. Przedstawiał staw otoczony drzewami; za drzewami stoi smutna dziewczyna i patrzy na swą szczęśliwą rywalkę, która w objęciach młodego mężczyzny płynie na łodzi po stawie. Obraz był dopiero naszkicowany, jednak już można było dokładnie myśl jego zrozumieć; twarze opuszczonej dziewczyny, jak również tej drugiej płynącej w łodzi, były już wyraźnie podmalowane, a ton obrazu trzymany był w tem niepewnem oświetleniu, co się waży między zachodem słońca a zmrokiem. Ewa uważnie bardzo przypatrywała się obrazowi, po ruchach jej oczów znać było, że myśl czujna była bardzo w tej chwili. Stasia patrzała jej w twarz, chcąc wyczytać, jakie obraz ten zrobi na niej wrażenie.

— No, to już nie rywalki — odezwała się po chwili Ewa.

— Jakto? — Zdziwienie to wyszło z ust Stasi.

— Rywalizacyi nie ma, bo ta w łodzi już pewna zwycięstwa.

— Kto wie — odezwała się Stasia poważnie.

— Jakże pan sądzisz panie Adamie, bo pan tu jeden masz głos decydujący.

— Ja byłbym zdania Stasi. Owa miłość, poczęta pocałunkiem na stawie, może być tylko chwilowem zapomnieniem się młodego.

— Ten sens moralny za mało tu uwydatniony — i w ogóle cały ten dramacik miłośny ginie w pejzażu; jest ledwie jego dekoracyą.

— W istocie masz pani słuszność; szło mi tu głównie o ton obrazu, o pejzaż i nawet nazwałem obraz ten: „Nad wieczorem,“ ale Stasia uparła się za: rywalkami.

— Więc to ty tak ochrzciłaś ten obraz?

— Te dwie kobiety naprzód mnie uderzyły, szczególniej ta na przodzie taka smutna, tak wymownie skarząca się wzrokiem, którym ściga niewiernego. O! to bardzo prawdziwe.

— Tak, scena tu wiele mówi, ale mnie głównie zajmowałaby gra charakterów; n. p. widząc twarze obydwóch rywalek, mogłabym sobie wytłómaczyć, dlaczego ów pan jednę dla drugiej porzucił.

— Masz pani słuszność — rzekł Adam. — To też tytuł, jaki Stasia dała memu obrazowi naprowadził mnie na pomysł innego obrazu. Naszkicowałem go nawet wczoraj.

To mówiąc wyjął z pomiędzy obrazów stojących pod oknem płótno większych rozmiarów i postawił na ziemi poniżej tamtego.

— Tu już rywalki wyraźniej występują; myśl tłómaczy się jaśniej, nieprawda? — spytał Ewy.

— Tak — rzekła Ewa patrząc z zajęciem na obraz — to rozumiem. Ten młody człowiek przeglądający biblię z ową jasnowłosą panienką jest w istocie na rozdrożu; z obróconej twarzy ku ogrodowi, gdzie widać przechadzającą się inną kobietę, znać, że jeszcze nie wybrał stanowczo, że może wstanie za chwilkę i pobiegnie za tamtą. Tylkobym panu jedno zarzuciła. Ze szkicu widzę, że pan obie rywalki zbyt podobnie pojąłeś, a tu musi być różnica między niemi ogromna, żeby można zrozumieć, dlaczego jednę porzuca dla drugiej. Jeżeli w tej blondynce uosobniłeś pan cichą prostotę, wiarę, idealność, to tamta musi przedstawiać wszystko, co ziemskie, rozkoszne i zmysłowe.

— I pani mówiłaś, że się nie znasz na sztuce — rzekł Adam zdziwiony trafnością sądów i pomysłów Ewy.

— Znam się na życiu, panie — odrzekła z naciskiem. Nagle przybierając ton wesoły i swobodny zagadnęła Adama patrząc mu w oczy z drażniącą kokieteryą:

— Jakiż tytuł dasz pan temu obrazowi?

Adam pomyślał chwilkę, potem rzekł:

— Między niebem a piekłem.

— O! fe! to strasznie katechizmem trąci. Przecież spodziewam się, że pan z tej drugiej nie będziesz chciał zrobić piekielnicy?

— Więc jak pani byś nazwała?

— Dość będzie, gdy pan nazwiesz: między niebem a ziemią; będzie to kontrast wystarczający. Ale, ale, objaśnij mnie pan, czy panowie malujecie z pamięci, czy z modelów?

— Zawsze z modelu, jeżeli obraz ma mieć poprawny rysunek i wierność w kolorycie.

— I masz pan już jaki model na „ziemię?“

— Nie myślałem jeszcze o tem.

— W takim razie ja ofiaruję się panu pozować. Nigdy w życiu nie pozowałam do obrazu, to mnie zabawi. A wiesz co Stasiu. Ty pozuj na tę drugą — idealną. Będziemy razem na jednym obrazie, jak to będzie ciekawe.

— Dobrze — rzekła Stasia; ale w tej chwili jakiś niepokój ją owładnął. Coś jak mgła zamroczyło i oziębiło ją w duszy i dreszcz zimny przeszedł po ciele, jak w febrycznym paroksyzmie. Trwało to chwilkę małą, Stasia sama nie mogła zrozumieć zkąd przyszło to nagłe wstrząśnienie.

W tej chwili major z matką Stasi weszli do pokoju artysty szukając Ewy, gdyż już chciał jechać do domu

— A to co? Panny w pokoju kawalera. Śliczna mi historya. Uważa pani — rzekł major zwracając się do gospodyni — za naszych czasów tak nie bywało.

— Mieszkanie artysty stanowi wyjątek — rzekła Ewa z wesołym uśmiechem.

— A cóż to? artysta jest rodzaju nijakiego? A to cię ubrała. Broń się chłopcze i nie daj się tak postponować.

Wtem oczy jego padły na obraz na sztaludze. Stary major wytrzeszczył oczy, spojrzał potem na córkę i rzekł:

— Ewuniu, patrzajno, ta to on nasz staw wymalował. A to tak, jakby nie przymierzając Zygmunta z tobą.

Ewie ta uwaga ojca zachmurzyła czoło i robiąc minkę oburzoną spytała:

— Dlaczegoż ze mną?

— Ta to wy nieraz tak sobie pływacie, tylko rozumie się bez pocałunków.

Ewie nie w smak był ton ojca rozmowy, przerwała ją prędko i rzekła:

— No, jedźmy.

— Więc pani dobrodziejka przyrzeka? — spytał major zwracając się do matki Stasi.

— Jeżeli tylko nic nie przeszkodzi i Stasia będzie miała ochotę.

— Ależ zechce, zechce. Toż Ewunia ją tyle razy odwiedzała; słusznie więc i nam należy się wizyta. Ewuniu, zaprosiłem panie do nas na przyszłą niedzielę na dożynek.

— I będą panie łaskawe? — spytała rozjaśniona tą nowiną Ewa.

— Ja nigdy jeszcze dożynku nie widziałam — rzekła z naiwną uciechą Stasia.

— Więc w niedzielę rano przysyłam po panie konie i basta — zakończył major.

— I pan Adam może zechce — dodała Ewa.

— To się rozumie, on po służbie być musi przy swojej damie.

Ewa znowu niespokojnie ruszyła brwiami. Podała rękę paniom i rzekła:

— Do widzenia więc.

Adam odprowadził ją do powozu. Gdy jej podawał rękę, uścisnęła go lekko i rzekła z uśmiechem uprzejmym i ponętnym:

— Rachujemy na pana, panie Adamie.

(C. d. n.)

Do Władysława T. . . .

(podróżującego po Włoszech i Grecyi.)

Ty na Italskiej ziemi sam,
By ptak o piersi rozbitej,
U rozwalonych taranami bram,
Cyprysów co lecą w błękity,
W beznadziejowe zapatrzony świty
I cóż wyniosłeś z tej włóczęgi?
Coć zostało? powiedz, ach!
Czy Aleksandryjskie księgi,
Echa po Platońskich snach?
Partenonu rzeźby, mędrców księgi?
Czy z duchami rozmowy herojów,
Maratonu wodzów, Mantynei?
Czyli brzęk Hymetu rojów
Na rytm do jasnej nadziei?
O! daremno tym umarłym światem
Swój kierujesz rudel w morską tucz;
Nie przed greckim złożon Hipokratem
Tajemnicy, coć wyleczy, klucz,
I nie w Grecyi z tym się zejdziesz kwiatem!
Nie w ruinach Akropolis rośnie
Dla twych akant, poeto, filarów,
Na ból co cię udręcza nieznośnie
Nie ma słowa wśród natury czarów,
Próżno w greckiej chcesz go znaleźć wiośnie!
Nagie, białe, bohaterów cienie
Posągowo stąpające dumnie,
Nie odwestchną na twoje westchnienie
I nie powie żaden: zbliż się ku mnie!
Próżno śladem ich depcesz kamienie,
Oni w sobie tak skończeni, cali,
Z swoją Grecyą, lutnią i swobodą,
Tacy niczem niewzruszeni, biali,
W marmurowych liniach nad mórz wodą,
Nie dzisiejszą pogodni, pogodą,
Piękni, sami rozkochani w sobie,
Powiązani nieśmiertelnym śpiewem,
Muzy na ich marmurowym grobie
Piszą dzieje czarownym reliewem,
Irys wieje laurowem drzewem.
Ludy, wodze i wszystkie ich myty
Trąby srebrne, i puhary winne
Ich świątynie i ich glazoryty,
Upał bitew i igry dziecinne,
Świat osobny i w sobie spowity...
O! któż boskiej nie wielbił Hellady?
Temistokla dziejmi brzegi dzwonią,
Na ponurych schodach Leukady
Safo zgiętą twarz okryła dłonią
Spadającą... jako wodospady!
Bogi świecą na wierzchołkach Ida,
Na Termopyl lew przylegnał skale,
Zachmurzona postać Leonida,
Pewna, w wieków zapatrzona fale,
Których wpływy nie ujmą jej chwale.
Świat ten skończył się i wionął w górę,
Jak Apollo z słonecznem obliczem,
Jak Apollo owinął się w chmury
Z ogniem swoich natchnień tajemniczym,
Z nim wionęły bóstwa złotopióre...
Czarujący, nie zczarują ciebie,
Rzymskie, greckie cienie ci nie bliźnie,
Boś ty zrodzon — na Polski pogrzebie,
Rozżalony po matce ojczyźnie,
Zawiedziony na nadziei niebie...
Lutnia twoja, dusza, tonu szuka,
Serce ciężki przygniata ci głaz,
Łudzi ducha sztuka i nauka
I natrząsa się z upadków czas,
Gieniusz ziemi — tęsknych odszedł nas...
Padłych ruin sypią się kamienie,
Przetrawieni rozpasaniem chuć
Bezchwalebne kończą swe istnienie,
Ledwie runą — już po nich milczenie
I nie woła nikt: O Boże, zbudź!
Nad obszarem strąconych w otchłanie
Gorsze piekieł, w znicestwienia mrok,
Anioł zgrozy począł winobranie
I krew łeje się z pod ciężkich tłok!
Czas bez pieśni — ryk i wichrów wianie,
I ty polskie rozbolałe ptaszę
Nie wiesz kędy i gdzie artę nieść,
I już wołasz: „O! bo lampę zgaszę,
Bo w umarłych koło czas mi siesć,
Lutni, serca, zatracona cześć!“

* * *

Przyjacielu! na Sykulskich łomach
Oto k'tobie spieszę pełen łez,
Sądy wieczne, nie w pogodzie... w gromach!
I wszelkiemu czasu stawion kres.
Zdzierżaj ducha w złomach i ogromach,
Na ruinach Persepolis, w piaskach!...
O Ateński harfę oprzyj słup,
I na rzymskiem Koloseum w blaskach
Wszędzie, kędy upadł naród trup:
Polski duchem wszelki wypełń grób!...
Niechaj anioł serce twe rozpęta
I niebieską łaską bracie mój
Zanim błyśnie w oczach Polska święta
W świat rozleje boskich natchnień zdrój.
Pieśń — to miecz! a życie nasze — bój!
Z harfą w dłoni, bohaterów synu
Czysto, wzniośle wśród ludów się staw
I nie sen im, najpiękniejszą z jaw,
Radość długo żeglujących naw
Ukaż ziemię czynu, bez wawrzynu!
Ziemię, kędy laur nie ocienia
W senne gruzy roztrąconych baszt,
Ani mędrców z białego kamienia,
Lecz gdzie sosna czoło rozprzestrzenia,
Sosna, ludów żeglujących maszt...
Nową Grecyę natchnij duchem nowym,
Dłoń na sercu, niebo ukaż im,
I jak burza grzmij północnem słowem,
Przeszłość przeszła, marzeń siny dym
Pełnem niebem niech twój dzwoni rym...
Blizkich dni im ukaż aurorę
Tę różowo-palną naszych nieb,
A gdy krzykną zasłuchani: gore!
Ty im cuda rozwiń wiekowzore
Wolność — miłość — cherubi dwójchleb!
A gdy spełnisz, coć w twem sercu dzwoni,
Jak Józefa laska oblubieńca
Harfa w twojej liść wypuści dłoni,
Który skręci się w zwój wzorem wieńca

Z złotych liści na dziewiczej skroni —
A o liściu i harfie twej złotej
W późne czasy wieści się rozcieką
I brzmieć będą i dzwonić daleko,

Jak przewiane grzmoty i tęsknoty
Duszy twojej nad Letejską rzeką...

Florencya.

Teofil Lenartowicz.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

Do Stan. Małachowskiego pisze 7 Paźdz. 1792 (str. 71 T. I): „Zrobiliśmy, co do nas należało, pokazaliśmy prawdę narodowi naszemu. Poczciwy nie powinien się tem gorszyć, że mu nie udało się wszystkiego dokazać. Prawda sama da sobie radę. Można na czas wzrostowi jej przeszkodzić, ale jej wykorzenić nikt nie potrafi. Gdyby prześladowcy prawdy znali dobrze historyę dziejów ludzkich, nigdyby nie używali prześladowania dla uśmierzenia onej. Kto mniema, że okrucieństwa są do tego pomocne, ten się myli, ten nie wie, że w każdym wieku i czasie tyranie zaostrzały umysły cierpiących i pomnażały zwolenników ofiarujących się dobrowolnie na okrutne męki. Słowem, dla człowieka nic więcej nie zostaje tylko odkryć prawdę, tajemnica zaś jej rozkrzewiania zostawiona jest niebu. Niech będzie co chce, nie potrafi już nikt zatrzeć pamiątki tego sławnego w Polsce sejmu, a póki tylko dzieje polskiego narodu dojdą do wiadomości odległych wieków, póty Stan. Małachowski będzie Arystydem polskim.....“ „Losy moje oddałem niebu. Pilnuję się tylko, abym żadną podłością nie skaził serca mego, względem czego mam zbyt natarczywe perswazye od przyjaciół. Lecz przyjaciele więcej się trudzić lubią bytem dobrym, jak ocaleniem nieskażonej cnoty, której dochowanie zależy od męztwa i rezygnacyi cierpienia, a to w przeciwnościach jest tylko darem nieba.“

Do W. Szczurowskiego pisze 10 Paźdz. 1792 (str. 73 T. I): „Bardzo WPanu dziękuję za delikatną troskliwość, którę masz o mój honor. Bądź pewien, że bojaźń o stratę mego majątku i dostojności nigdy nie przemoże nademną. Jeżeli początkowe kroki moje względem uczynienia akcesu brałeś za skutek bojaźni, to zapewne wszystkich moich widoków nie objąłeś. Trzeba ratować ojczyznę, w jakimkolwiek ona jest stanie, ale ją ratować inaczej nie można, tylko z ocaleniem swego sumienia i honoru. Póki będą żądać odemnie takowych warunków do powrotu, jakie są przeciwne sumieniu i poczciwości, póty nic nie zrobię. Im bardziej szanuję WPana o mnie troskliwość, bo ta więcej dotyczy uczciwości osobistej jak majątku, tem bardziej upewniam go, że potrafię przecierpieć całą tę biedę.“

W liście do Strassera pisanym 17 (a nie 13 jak mylnie położono) Paźdz. 1792 rozwija Kołłątaj (str. 83 do 90 T. I włącznie) przedłożony carowy 22 Czerwca projekt osadzenia na tronie polskim jej wnuka Konstantego wykazując, że interes dobrze zrozumiany samej Moskwy wymaga przyjęcia tego projektu, poczem powiada str. 90: „Proszę WPana, abyś wyrozumiał JP. Bułhakowa, jak się mu ta myśl zdawać będzie, czyli ją powierzyć zechce swemu dworowi? czyli przewiduje, że dwór jego zechce myśleć o utrzymaniu na tronie polskim wnuka imperatorowy? Proszę także dowiedzieć się, czyli król będzie komunikował w projekcie od siebie rzeczonemu ministrowi i jakie nastąpiły z tego wypadki i rezultata. Jeżeliby wypadła robota około tego projektu, choć i hazardem zdrowia mego powróciłbym do Polski, lubo to jest czas najniebezpieczniejszy na moją podagrę. Lecz jeżeliby miało tak wypaść, żeby albo sejm nowy zwleczono do zaspokojenia interesów francuzkich, albo żeby go tylko zwleczono na ten koniec, aby anarchię przywrócił, przyznam się WPanu, że w takim przypadku najwięcejbym myślał o ubezpieczeniu zdrowia i o oddaleniu się od przykrości.“

Do ks. Reptowskiego, scholastyka warszawskiego, pisze 20 Listop. 1792 (str. 119 T. I): „Nie rozumiem, kto poddyma zapał nieukontentowania we wszystkich klasach ludu. Piszesz mi WPan, iż się obawiasz wybuchnienia jakiego desperackiego kroku. Alboż to pierwszy raz Polacy są w tem jarzmie, żeby go tak mocno czuli teraz? Obawiam się jakiej zdradnieczej ręki, która dla swych widoków przygotowane umysły porusza i zapala.“ A w liście z tegoż dnia do Barsa pisze (str. 128 T. I): „Gdybyś mógł wstrzymać jeszcze pośpiech Twego do Polski powrotu, powróciłbyś przyjemniej. Gdybyś powracając do Polski, mógł obrócić Twą podróż na Lipsk, widziałbyś rzeczy jaśniej, mógłbyś się pożyteczniej w Polsce najdować, bo tego pisać nie podobna, co mówić można. Cieszę się jednak, że nie straciłeś serca do Twej ojczyzny, a na fundamencie przyjaźni, którę mam dla WPana, przyznam się Mu, że mi się teologia Sapalskiego nie podoba. Wszelako wiem ja to, jaka jest walka potrzeby z rozumem, dlaczego nie ganię jego postępków, ale tylko wyrażam, że ich nie aprobuję, i że żadnej przysięgi w mojem pojęciu lekkomyślnie nie biorę.“

Pisząc do Strassera 24 Listop. 1792 powiada między innemi (str. 132 T. I): „Rozsiane wieści o dyspozycyi do buntu pospólstwa naszego, tudzież trwoga w Warszawie, dwa tylko może mieć cele: jeden pochodzi od złośliwych zamiarów, aby Warszawę do szczętu zohydzić... drugi może być z przyczyny: ażeby imperatorowa, przekonana o opinii narodu, mogła coś positive deklarować przeciw zamiarom Targowickim; bo się to w mojej głowie pomieścić nie może, zkądby przyszło pospólstwu polskiemu do groźby buntami. Musi być koniecznie jakaś ręka, co to poddyma, musi być jakiś interes, co tę nowinę stworzył i jakiem już dawniej do WPana pisał, ażeby tego serio dochodzić, tak i teraz powtarzam.“

1 Grudnia 1792 pisze do Strassera (str. 135 T. I): „Co się tyczy króla pruskiego, wojska jego mają także troiste przeznaczenie. 15.000 wnijdzie do Polski, a może pierwej, nim ten list dojdzie, obejmą trzy województwa, Poznańskie, Kaliskie i Gnieźnieńskie. Ta wiadomość przyszła z Berlina, o jej niezawodności uroczyście ręczę. Otóż to jest skutek Targowickiego związku, który nas

zapewniał o całości i niepodległości państw Rpltej. Nie wiemy jeszcze, czy król pruski wyda zaraz oświadczenie zabrania tych województw, oraz Gdańska, Torunia, czyli też pod pretekstem spokojności oświadczy się, że wchodzi dlatego, aby się Polacy nie buntowali. Jakiekolwiek przyczyny wkroczenia do Polski przełożyć zechce, skończy się na tem, com ja jeszcze w Sierpniu pisał, że podział Polski jest ułożony między trzema sąsiadami naszymi.“

4 Grudnia 1792 powiada w liście do Strassera (str. 135 T. I): „Tandem doczekałem się jakiejkolwiek odpowiedzi na list mój pod datą 17 Października. Spodziewałem się, że p. Bułhaków wstrzymywać się będzie jak najdłużej, i że od razu dokładnej nie da, boć oni muszą posłać do Petersburga i ztamtąd decyzyi oczekiwać stosownej do projektu. Bardzo wątpię, żeby król nie miał odebrać pisma, o którem namieniłem w liście pod datą 17 Października (do Piatolego), bo to razem i przez jedną okazyę przesłane było! Kiedy więc WPan dostałeś list odemnie, musiał i król dostać pismo, o którem mowa, chyba że król ma potrzebę taić, ja zaś idę prostą drogą. Zgodzono się, abym pisał do WPana, abyś ten list pokazał p. Bulhakowowi dla tego, żeby mógł zapewnić, iż to nie jest myśl samego króla, ale wszystkich przyjaciół konstytucyi.“

13 Grudnia 1792 pisze do Stan. Małachowskiego (str. 147 T. I): „Po odebranym liście 20 Października z Wiednia pisanym, natychmiast odesłałem kopię cyfry p. marszałkowi Potockiemu, który jej miał użyć odpisując JWPanu na list Jego. Ja wtenczas już byłem chory. Wiadomości o wyjeździe JWPana do Wenecyi i znowu o powrocie do Wiednia z przyczyny słabości JP. Starosty opoczyńskiego tak pomięszały naszą korespondencyę, że nie wiedziałem, gdzie pisać. Nadewszystko zaś, gdy JWPan doniosłeś, w jakich myślach pisałeś do króla, a spodziewaną odpowiedź miał nam JP. Wojna komunikować; więc i to oczekiwanie przyłożyło się do zwłoki mojej odezwy, w której równie chciałem coś pewnego donieść. Pisałem ja do Wiednia, ale w tym liście nic więcej nie było, tylko uwiadomienie o oddanych cyfrach JPanu marszałkowi i proźba, abyś mi oświadczył jakim sposobem mogę być pewnym przesyłania listów moich w czasie wojażu, oraz pod czyim adresem mam je przesyłać, aby go niezawodnie dochodziły. Dotąd jak widzę król na list JWPana nie odpowiedział, kiedyśmy żadnej z Wiednia nie mieli w tem wiadomości. Ale ja moją drogą starałem się wyrozumieć z Bułhakowa, czyli Rosya przy ofiarowanym tronie sukcesyjnym dla Konstantego zechce utrzymać konstytucyę naszą z zachowaniem sejmu dawnego... W tej samej materyi razem pisał Piatoli do króla. Król podobno żadnej rezolucyi nie dał jeszcze Piatolemu, ale p. Bułhaków dał ją, jest taka: że Moskwa nie może przyjąć tej propozycyi od Polakow, boby się jej wszystkie europejskie sprzeciwiały dwory; że choćby można cokolwiek kalkulować teraz na powodzenia Francuzów, imperatorowa nie da sobie mówić o nich i śmieje się z tryumfów francuzkich; że względem sejmu tak głębokie jest milczenie w Petersburgu, iż nie można upewnić się, kiedy przyjdzie Polakom do onegoż złożenia. Zaczem już to oczywiście widać, że my od Moskwy żadnej uczciwej rezolucyi spodziewać się nie możemy....“ „Dlaczego bardzo sprawiedliwie JWPan uważasz, że i nam Polakom nie należy spóźniać się w myśleniu o ojczyźnie. Zamiar nieoddalania się zbytecznie jest koniecznym, lecz zgromadzenie się na jednem miejscu zdaje mi bardzo niebezpiecznem, boby zaraz uważano, że my już coś zaczynamy robić i zbyt wcześnie obrócono by na nas oczy, a my im bardziej chcemy być pożyteczni naszej ojczyźnie, tem ostrożniej czynić powinniśmy. Dlaczego upraszałbym JWPana, abyś się jakiś czas zatrzymał w Wenecyi do odebrania powtórnych od nas listów, w których dokładniej napisać będzie można, co przedsięweźmiemy.“

Pisząc do Strassera 14 Grudnia 1792 powiada (str. 149 T. I): „Kombinując list WPana z dnia 24 Listop. z listem dnia 1 Grudnia rozumiem, że mi należy brać ostatniego wyrazy za finalną odpowiedź obiecaną w pierwszym. A że tak prędko nastąpiła, rozumiem, że p. Bułhaków dać ją musiał bez zgłoszenia się do swego dworu. Nie można zrozumieć, co jest w głowach teraźniejszych monarchów i ich ministrów.“ Ani ich zachęcić można osobistym interesem, ani uwagą na sprawiedliwość, ani względem na sławę. Jakiś zawrót głowy opanował wszystkich. Chcą na swoim postawić, ale to co jest przedmiotem ich oporu jest najczarniejsze a może i dla nich najniebezpieczniejsze.“

W liście do tegoż pisanym 29 Grudnia 1792 powiada (str. 155 T. I): „Nadjechał tu jenerał Kościuszko, któremu z Galicyi kazano wyjechać, a którego w Polsce ostrzeżono, że go Moskale chcą schwytać. Człowiek ten nie widząc dla siebie bezpieczeństwa ani w Galicyi ani w Polsce, powiada nam, że chce jechać do Francyi. Jakoż i my obawiamy się, aby też same starania, które przymusiły p. Kościuszkę opuścić ojczyznę, nie pracowały nad tem, żeby go z Saksonii ruszyć. O wkroczeniu Prusaków do Polski wiadomość nie ustaje. Pan de Nesselrode z tem postanowieniem króla pruskiego pojechał do Petersburga i powrót jego lub odpowiedź, jeżeli on nie powróci, ma udecydować wszystko.“

Pisząc do tegoż 8 Stycznia 1793 powiada (str. 168 T. I): „P. Maciej Mirosławski wyjeżdża w dniu dzisiejszym; cokolwiek on WPanu powie, to będzie tej wiary, jakobym ja napisał lub powiedział, a konsekwencye, które z tego wyciągniesz i zachowasz dla siebie samego, będą najlepszem usprawiedliwieniem mojem, że lekko rzeczy nie biorę. JPanu podskarbiemu Ostrowskiemu najrzetelniejszy oświadczam ukłon. Proszę mu powiedzieć, że ja o ojczyźnie mojej nie rozpaczam i obliguję go, aby i on nie rozpaczał.“ W liście zaś doń z dnia 19 Stycznia pisze (str. 172 T. I): „Rozumiem, że p. Mirosławski już stanął. Nie pisałem nic przez niego, bom się obawiał, żeby nie był rewidowanym, a najmniejsza obojętność w wyrazie mogłaby komu zaszkodzić. Zaczem względem niego odwołuję się do listu, pod dniem 8 b. m. i r. pisanego. Nowina o p. Ignacym Potockim, jakoby miał utrzymywać korespondencyę z Szczęsnym, marszałkiem targowickim, jest zupełnie fałszywa. Nie mam żadnej nadziei, aby się ci ludzie między sobą porozumieli. Są to sztuki, przez które chcą dać zrozumieć umysłom słabym, że już upadła nadzieja wszelka ratowania ojczyzny; lecz względem tego WPan najdokładniej jesteś informowanym. Tąż samą pocztą piszę do p. Ignacego, aby się miał na ostrożności, że go chcą ze mną pokłócić. Książę Czarny (Radziwiłł) chciał na ten koniec mieć konferencyę z księżną jenerałową, lecz mu odmówiła widzenia się z nim. Insza jest rzecz rozsiewać bajki w Warszawie, a insza dokazać tego, abyśmy się z sobą pokłócili, kiedy nas nic z sobą nie łączy, tylko dobro ojczyzny. Tadeusz Kościuszko już od nas odjechał. Dałem mu w towarzystwo mego synowca (Eustachego), spodziewam się ich widzieć napowrót w Marcu. Przyczyniło mi to kosztu, ale cóż czynić? Mirosławski dokładniej tę expens usprawiedliwi. Jakże się zgodzi ustanowienie nowej policyi z wolnością, którę nam obiecują? Jeżeli Monitora i wszelkich zagranicznych gazet zakazali, to tedy w Rpltej wolnej nie będzie można wiedzieć o prawdzie.“ A 26 Stycznia pisze doń (str. 181 T. I): „Racz

WPan nadesłać mi kredyt na franków 3000 czyli na talarów 900, a to jak najrychlej. Ufam, że mi raczysz wierzyć, że tego nie żądam tylko w ważnym interesie, który sam w czasie pochwalisz. Odwołuję się w tej mierze do tego, co Mirosławski miał WPanu był opowiedzieć. Mam ja uwagę na mój stan i dosyć roztropności, abym się niepotrzebnie ściągnął na koszta, a zatem będziesz mi wierzył, że tego potrzebuję na cele bardzo sprawiedliwe, korzystne i potrzebne. Oczekuję odpowiedzi skutecznej jak najrychlej, później usprawiedliwię się, gdy mi wypadnie pisać przez jakąś okazyę."

(C. d. n.)

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Dalszy ciąg mytów helleńskich większe napotyka trudności. Helleńska tradycya, jak i tradycye każdego innego narodu, rozpoczynają się mytami o bogach, nie wprowadzając jeszcze idei jednego Boga, która jest przystępną tylko dla umysłu wprawionego do abstrahowań i refleksyi, następnie schodzą do półbogów, jako istot już z natury swojej więcej zbliżonych do ludzi, a nareszcie kończą na tak zwanych *heroach* bohaterach, którzy aczkolwiek zawsze prawie pochodzą od bogów lub bogin, albo przynajmniej półbogów lub półbogin i dlatego takowych szczególną cieszą się opieką, jednak są ludźmi w zupełnem tego słowa znaczeniu. Otóż wcale mię to nie uderza, jeżeli Hellenowie pojedyńcze plemiona swoje wyprowadzali od takich bohaterów jak Palaiochton (stara ziemia), tegoż potomkowie Pelasgos, Haimon i Thessalos (*por. Duncker l. c. t. III str. 9*), albowiem rodowód ten oznacza tylko tyle, że Grecy uważali się za naród samorodny, nie przypuszczając, iżby pochodzić mogli od ludów barbarzyńskich. Jeden z poetów żyjący w drugiej połowie VIII wieku przed Chrystusem, Asios, spiewał też, „że czarna ziemia na wysokoszczytnej górze porodziła Pelasgos'a bogom podobnego, aby istniało plemię śmiertelników" (*Paus 8, 1*) a i Hezyod Pelasgosa, praojca Hellenów nazywa „synem ziemi" (*fr. 135*). Dziwić każdego bezstronnego badacza może inna okoliczność. W obec dzisiejszego stanu filologii porównawczej nie sposób przypuścić, aby można jeszcze wierzyć w autochtoność t. j. samorodność jakiegoś szczegółowego a zwłaszcza helleńskiego plemienia. Wspólność nazw jak *dewą* po sanskrycku, *teos* po grecku — *varuna* po sanskrycku, *uranos* po grecku — *awis* po sanskrycku, *ois* po grecku — *vastu* po sanskrycku, *asty* po grecku — *damas* po sanskrycku, *domos* po grecku — *drara* po sanskrycku, *tyra* po grecku — *juga* po sanskrycku, *zygon* po grecku — *aksa* po sanskrycku, *akson* po grecku — *naus* i *plava* po sanskrycku, *neus* i *ploion* po grecku — *aritra* po sanskrycku, *eretmos* po grecku na oznaczenie tychże samych pojęć, z nieubłaganą koniecznością każe wnosić o wspólności pochodzenia Indów i Hellenów. O żadnym z historyków dzisiejszych nie można przypuszczać, iżby mu ten dowód wspólnego pochodzenia Hellenów z innymi ludami aryjskimi, mógł być nieznanym, a jednak lubują się jeszcze historycy w tem, iż w ślad za Palaiphatosem (*Grote l. c. t. I sts. 330 etc.*) dowolnie myty sobie tłumaczącą, przyjmując z nich część, a resztę jako fantazmogoryę pomijając i tak n. p. mytycznym praojcom Hellenów historyczną rzeczywistość przypisują. Tym sposobem nic oni nie zyszczą, albowiem twierdzenia ich pozostaną zawsze niczem nie popartą hypotezą, a myt traci nietylko swój poetyczny urok, ale nadto i swoje historyczne znaczenie, zaś rzecz sama traci na tem wiele, albowiem historya ich sposobem traktowana staje się romansem, fantastycznym utworem bez historycznej podstawy a zarazem i bez poetycznego piękna. Jeżeli myty helleńskie nie dają nam możności ułożenia sobie z nich dziejów przedhistorycznej Hellady, to rozumie się samo przez się, że o chronologii przedhistorycznych dziejów Hellady wcale mowy być nie może i tem samem wszelkie chronologiczne kombinacye w oczach bezstronnego badacza żadnej nie mają wartości, o ile takowe uzasadniają się jedynie na mytach i podaniach samych Hellenów.

Więcej światła na te przedhistoryczne czasy Hellady rzucają badania mozolne hajdelbergskiego profesora Rötha, które nowocześni uczeni bądź to zupełnie milczeniem pomijają, jak n. p. Duncker, bądź to tylko z lekka ich dotykają, nie wchodząc w nie głębiej, jak n. p. Zeller, a jednak one są tak przekonywujące, że więcej zasługują na uznanie, aniżeli sztuczne kombinacje Niebuhrów, Müllerów lub innych historycznych myślicieli. Röth w swojem olbrzymiem dwutomowem dziele: „Historya zachodniej filozofii", wiąże tym sposobem historyę helleńską z historyą starożytnego Oryentu, że zgodnie z ostatecznym rezultatem filologii porównawczej uważa helleński, a zwłaszcza starohelleński lud za pobratymczy z indyjskim i zendskim, do którego ostatniego zalicza wszystkie ludy zamieszkujące Karamanię, Persyę, Baktryę, Medyę, Assyryę, Armenię, Kapadocyę, Lydyę i Bitynię. Te trzy ludy stanowią razem szczep indo-germański czyli aryjski, obok którego istniał (jak jeszcze i dotąd istnieje) szczep semicki, do którego należały ludy Arabii, Mesopotamii z Babilonią, Syryi, Fenicyi i Palestyny, pokrewny egipskiemu, a właściwie etiopsko-egipskiemu. Ztąd też idzie, że wywód pochodzenia ludów podany w 10. rozdziale Genezy zgadza się w zupełności z filologią porównawczą. Ludy zendskie i indyjskie stanowiły początkowo jedno plemię, ich pierwiastkowe mowy zdają się być jakoby tylko dyalektami, jedne i drugie nazywają się „arya" t. j. panowanie (*por. l. c. t. I. str. uw. 1.*), jedne i drugie są ludami pasterskimi uprawiającymi rolę, miały też wspólną religię. Pisma święte Baktrów wspominają, że ludy zendskie zmuszone były przez nagłe zimno, opuścić swoje dotychczasowe siedziby i udać się na południe. Wówczas też zapewne jedna część staro-zendskiego ludu, udała się na wschód południowy i zamieszkała okolice Indusu i następnie Gangesu, a druga skierowała swój pochód ku zachodowi południowemu i zajęła Baktryę i kraje pomiędzy morzem kaspijskiem i perską odnogą aż po Eufrat i Tygrys. Podczas tej wędrówki ludów aryjskich, przebywały w tych stronach ludy semickie, lecz ulegając parciu plemion aryjskich, wycofały się więcej ku zachodowi i zajęły kraje wzdłóż wybrzeży śródziemnego morza położone aż po Egipt, jako to: Cylicyę, Syryę, Fenicyę i Palestynę. W głębi kraju pozostały tem, czem dotąd

były, t. j. rolnikami i pasterzami, zaś dotarłszy do samego morza, zajmowały się rybołostwem, żeglugą a następnie handlem i przemysłem. Same nazywały się te ludy „Kenaani“, kananiei, t. j. mieszkańcy nizin, a sąsiadów swoich, zamieszkujących wyżyny, nazywali „aramejami“, t. j. góralami. Od ich rzemiosła „farbowania na czerwono“, nazywali je Grecy Fenicyanami, a od rybołostwa nazywano je Sydończykami. Nawet i Herodot (*I. l. VII. 89.)* powiada nam, że Fenicyanie według swej własnej tradycyi, uważali się za pochodzących z okolic Czerwonego morza. W paręset lat później dostały się te ludy aż do Egiptu i tam założyły państwo z stolicą w Memphis. W historyi Egiptu wtargnięcie tych ludów, stanowi epokę i jest faktem nie ulegającym żadnej wątpliwości. Historyk Egipski Maneto, nazywa te ludy Hyksos, coby miało znaczyć królowie pasterze, Röth *(l. c. t. I. str. 16. no. 14.)* dowodzi, że jest to wyraz czysto-egipski, znaczący: królowie pasterzy i że Egipcyanie nie ludy, które ich krajem zawładły, lecz tylko króli tych ludów Hyksos nazywali; tenże sam Maneto twierdzi, że owe ludy pasterskie, były to ludy fenickie, dodaje jednak, że były to właściwie ludy filistyńskie. Księgi starego testamentu, nazywają znów te filistyńskie ludy Pletami, Kretami i Karami, lecz właściwie, powiada Röth *(l. c. t. I. str. 88. i n. 17.)* wszystkie te nazwiska mają jedno i to samo znaczenie, t. j. znaczenie ludów wypędzonych, wychodźców, w ucieczce szukających ratunku, a zatem ostatecznie ludów, które z ich siedzib wypędzono (*Her. II., 128*). Wtargnięcie pasterskich ludów do Egiptu, nie pociągnęło za sobą zdobycia całego Egiptu przez te ludy, lecz tylko wyparcie staro-egipskich króli do Wyższego Egiptu, gdzie oni i nadal w Diospolis i w Tebach swą stolicę mieli. Oba te państwa Niższego i Wyższego Egiptu, Hyksosów i staro-egipskich króli istniały obok siebie według najprawdopodobniejszej chronologicznej kombinacyi przez 500 lat, dopiero gdy się krajowi królowie z Teb wzmogli w dziewiętnastym wieku przed Chrystusem rozpoczęli z Hyksosami walkę zaczepną, prowadzili ją przez około dwieście lat, aż roku 1680 Amosis wyparł ich z Memphis, poczem się tylko w Delcie utrzymali, a z której w 100 lat potem także wypartymi zostali — r. 1580 przed Chrystusem. Otóż ci od dziewiętnastego wieku z Egiptu coraz zacięciej przez krajowych króli wypierani Fenicyanie filistyńscy zmuszonymi byli szukać sobie nowych siedzib i częścią udawali się do swoich pobratymczych plemion zamieszkujących Fenicyę, Syryę, Cypr, Cylicyę, a znów reszta szukała dla siebie nowych siedlisk. Nic prawdopodobniejszego, jak że ci nowych siedlisk szukający Fenicyanie, zajęli nasamprzód Kretę. Już Herodot *(I. 173.)* powiada wyraźnie, że Kretę pierwiastkowo zamieszkiwali barbarzyńcy, a jednak historya nie wskazuje innych barbarzyńców, którzyby Kretę byli zajęli, nadto język helleński nie daje nam klucza, któryby nam roztworzył podwoje do zrozumienia pochodzenia wyrazu „kreta“, podczas gdy filologia oryentalna dowodzi, że Karowie, Kreci znaczy to samo, t. j. ludy wędrowne, a i oryginalne źródła helleńskie (*Athenisus lib. IV. ap. Böth l. c. t. I. no. 25.)* Karów za Fenicyan uważają, nawet już i Homer *(Il. 867.)* mówi o Karach, że barbarzyńskiego używali języka, a Tukydides (*I. 48.)* wyraźnie powiada, że wyspy helleńskie były zamieszkane przez Fenicyan i Karów, których dopiero Minos do Małej Azyi wyparł. Grecy jednak czynili różnicę między Karami i Kretami a Fenicyanami, chociaż sami przyznawali, że Karowie i Kreci byli pochodzenia fenickiego; a miało to miejsce dla tego, że pod Fenicyanami rozumieli tych, którzy bezpośrednio z Fenicyi przybywali, lub pochodzili z kolonii bezpośrednio przez Fenicyan założonych a Karowie i Kreci nie byli czystego pochodzenia Fenicyanemi, albowiem przez pięciowiekowy (co najmniej) pobyt w Egipcie, przesiąkli oni już poniekąd sposobem życia i całą cywilizacyą Egipcyan.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Minzloff R. dr. Literaturgeschichte der Völker des Alterthums. Hannower 1872. (Dok.)

Dalej poucza nas filologia, że pojedyncze języki nie stoją pomiędzy sobą w stosunku pokrewieństwa zstępnego lub wstępnego, lecz raczej są sobie językami bratnimi; czem więcej do siebie podobne, tem dłużej były ze sobą połączone, a więc tem później rozpadły się. Tak przekonano się, że od pierwotnej mowy aryjskiej najpierw odłączyła się gałęź germańsko-słowiańska, a następnie helleńsko-italsko-celtycka, nakoniec dopiero indyjsko-erańska.

Z zestawienia językowych pierwiastków okazało się także, że praojcowie wszystkich ludów, które mogą sobie rościć pretensyę, aby się dzieje ludzkości nimi zajmowały, przez pewien przeciąg czasu razem mieszkali ze sobą, prawdopodobnie w okolicy źródeł Oxusa u podnóża gór hindostańskich, i że przed rozłączeniem się wysoki stopień oświaty już zajmowali; znali już system rachunkowy dziesiątkowy, obliczanie czasu według przemian księżycowych, zajmowali się uprawą ziemi i chodowlą bydła, nawet i rodzina i różne w niej stopnie pokrewieństwa obcymi im nie były, a i o tem wątpić nie można, że w tej epoce znaną była ludzkości religia i że tam pochodzenia mytów i podań szukać należy.

Autor nasz profesor Minzloff wspomina o tem wszystkiem, lecz słuszny możnaby mu uczynić zarzut, że zapobieżnie ten przedmiot roztrząsał, że o niego niemal tylko potrącił.

Następnie zupełnie stosownie dzieli autor przedmiot swój na trzy główne części, na historyę literatury staro-oryentalnej, greckiej i rzymskiej. Jednak korzystniejszym zdawałby mi się podział ten, gdyby obok niego i peryody historyczne uwzględnionymi były n. p. pierwszy do roku 500 przed Chrystusem, drugi do przyjścia na świat Chrystusa i pojawienia się chrześcyaństwa, a trzeci do końca starożytnego świata t. j. do końca V wieku po Chrystusie.

Naprzód wspomina Minzloff o literaturze chińskiej. Wprawdzie nie wiele da się o tym przedmiocie powiedzieć, ale zawsze więcej, jak autor przytacza. Najważniejszem dziełem w chińskiej literaturze jest niezawodnie pięcioksiąg Kung-fu-ts'ego spisany w drugiej połowie VI wieku przed Chrystusem. I to jest prawdą, że (jak powiada Klaproth) polityczne intrygi, ustawiczne wojny domowe, częste najścia przez sąsiednie barbarzyńskie hordy, sprowadzały zdziczenie powszechne a tem samem nie zezwalały na rozwój literatury; jednak zważywszy, że mimo kilkakrotnych paleń bibliotek, przechowało się w cesarskiej bibliotece w Pekingu 3511 dzieł w 78731 tomach pochodzących z epoki przedchrześcyańskiej, godziłoby się było coś więcej o tym przedmiocie wspomnieć, należało przytoczyć chociażby tylko prace Czeu-konga

(Czeu-li), Sse-ma-tsiana (nazwanego Herodotem Chin), Sse-ma-kuanga, Sse-ma-tana, Tsu-sse'go, Mengsego. Natomiast zupełnie niepotrzebnie mówi nasz autor o nowszej literaturze chińskiej, gdyż ta do literatury starożytnego świata wcale nie należy.

Dalej zastanawia się nasz autor nad literaturą Egipcyan, których zabytki pismienne najmniej o 1000 lat wyprzedziły literaturę grecką i przechowały się aż do najnowszych czasów, bądź to na papirusowych zwojach, bądź to na sarkofagach, ścianach świątyń, mumiach itd. Kamień z Rosetty, wynaleziony przez ekspedycyę napoleońską, mając na sobie potrójny napis, podwójny w egipskim a trzeci w greckim języku, dał podstawę odczytywaniu staro-egipskich napisów. Champollion młodszy, Young, Spohn, Seyfarth, de Rongé, Lepsius, Brugsch, Uhlemann i inni przyczynili się wielce do ulatwienia i do dokładności tych odczytywań. Okazało się, że Egipcyanie używali trojakiego pisma: hieroglifów, hieratycznego i demotycznego. Literatura Egipcyan obecnie jest jeszcze bardzo mało znaną, odczytano dotąd prócz napisów grobowych, hymnów na cześć bogów, jedną epopeję opiewającą czyny bohaterskie Sesostrisa, jedną bajeczkę o dwóch braciach i tak zwaną księgę umarłych, coś niby na wzór boskiej komedyi Dantego opiewającą wędrówkę duszy człowieka po śmierci.

Po Egipcyanach przychodzi kolej na starych aryjskich Indów. Z ich historyą poczęto się zaznajamiać głównie dopiero od r. 1765 kiedy Anglicy Bengal zajęli. Najdawniejszemi piśmiennymi zabytkami Indów są napisy na skale króla Atoki z III wieku przed Chrystusem. Rękopisów z czasów starych Indów nie mamy wcale, jak ogólnie sądzą z przyczyny klimatu. Pewnem jest jednak, że Indowie w starożytności mieli bogatą literaturę. O historyi literatury trudno tutaj mówić, bo historya a właściwie chronologia to najsłabsza strona Indów. Można jednak zgodzić się na to, że zbiór hymnów znany pod nazwiskiem Vedów powstał na tysiąc kilkaset lat przed Chrystusem. Także i co do literatury Indów czynimy Minzloff'owi ten zarzut, że wspomina o płodach literackich do starożytnej literatury nie należących, jak n. p. o dramatach Kâlidâsy, a nie wspomina o ważnych dziełach starożytnej literatury sanskryckiej. Autor nasz wymienia obok Vedy tylko epopeje Râmâjana i Mahâ-Bhârata i zbiór bajek znany pod tytułem Pantszatantra: a jednak nie należało pominąć milczeniem Mânava-Dharma-Sâstra t. j. tak zwanego kodeksu Manusa, który bezwątpienia na kilka wieków przed Chrystusem powstał, należało przecież wspomnieć o gramatycznych, astronomicznych a przedewszystkiem filozoficznych pracach starych Indów.

Od Indów przechodzimy do ich pobratymców Persów. Głównem dziełem literatury perskiej jest Zend-Avesta t. j. zbiór ksiąg świętych, składający się z dwóch części: Vendidad-Sade i Bundhesz, pierwsza jest czysto religijnej treści, druga jest jakoby encyklopedyą umiejętności.

Na Semitach kończy się dział naszej książki przeznaczony historyi staro-oryentalnej literatury, lecz z grona ludów semickich wybiera sobie autor jeden tylko lud żydowski, pomijając Assyrów, Babilończyków, Fenicyan milczeniem. Wcale też tego za złe autorowi brać nie można, gdyż rzeczywiście nie wiele dałoby się powiedzieć o literaturze tych ludów, że mieli bogatą literaturę nie ulega wątpliwości. Renana nowsze poszukiwania fenickie dały nam poznać szczątki fenickiej sztuki, z czasem może i z literaturą lepiej się zapoznamy, a Oppert wykrył biblioteki asyryjskie nieskończenie ciekawe. Następnie przechodzi Minzloff do historyi literatury greckiej; wspomina o pieśniach Orfeusza uważając je za podrobione; co do Homera, nie podziela zdania Wolfa, jakoby Iliada i Odyseja były tylko zbiorem różnych rapsodyjnych spiewów; pod tym też względem zupełną mu słuszność przyznaję, arcydzieło może być tylko dziełem jednego geniusza, nie zlepkiem choćby i z najdoskonalszych ułamków. Chociaż i nasz Zygmunt Węclewski idąc za Wolfem i Lachmannem, za stopniowem i częściowem powstawaniem i składaniem się Iliady i Odyssei przemawia, zdaje mi się jednak pod tym względem zdanie jego mylnem. Następnie wspomina Minzloff o Hezyodzie, Cyklikach, siedmiu mędrcach, elegikach i lirykach, dalej o tragikach, jak Aischylosie, Sofoklesie i Eurypidesie, komikach, jak Epicharmie, Aristofanesie, o poetach aleksandryjskich; nadmienia także o poezyi dydaktycznej, o greckim romansie czyli właściwie o bajkach milezyjskich, bo nazwa „romans“ jest nowożytną, a Grecy tak swe romanse nazywali. Dalej przechodzi nasz autor do historyi wymowy greckiej, do Isokratesa, Demostenesa i Aischinesa a ztąd do historyi filozofii greckiej, do Talesa i innych filozofów natury, do Pytagorasa, do eleatów, jak Zenona, do Heraklita, Empedoklesa, Demokryta i Anaksagorasa, do sofistów i Sokratesa z sokratykami, Platona z akademikami, Aristotelesa z peripatetykami, a następnie kończy filozofią Epikura, Stoy, skeptycyzmu i nowoplatonizmu. Z historyi filozofii przechodzi nasz historyk na pole czystej historyi, gdzie tyle pierwszorzędnych znachodzimy myślicieli, takiego Herodota, Tukididesa, Ksenofonta, Polybiusza, Dyonizyusza z Halikarnasu, Dyodora z Sycylii, Plutarcha, Arriana, Dio Cassyusza lub choćby tylko i takich jak żydowski historyk Józef, jak Herodyan, Julian, Zosimus i inni. Na zakończenie swej historyi literatury greckiej wspomina jeszcze Minzloff o geografach i podróżnikach helleńskich: Strabonie, Eratosthenesie, Pausaniaszu i Klaudyuszu Ptolomeuszu, o matematykach: Euklidesie i Archimedesie, o lekarzach: Hippokratesie i Galenusie, a ostatecznie o sofistach retorach, między którymi zasługują na szczególną wzmiankę: Dio Chryzostomus z Prusy i Lucyan z Samosaty, ostatni zwłaszcza jako satyryk.

Niepodobieństwem było w ramach krótkiej recenzyi streścić chociażby tylko jak najkrócej poglądy naszego autora na tych wszystkich helleńskich pisarzy, lecz w ogólności można tyle powiedzieć, że jeżeli historya literatury oryentalnej wiele i bardzo wiele pozostawia do życzenia, to historya literatury helleńskiej jest wyborną. Przedewszystkiem podnieść tutaj muszę, że potrącenia o kwestye tego rodzaju, jak n. p. porównanie poezyi Homera z poezyą Indów, wpływ dramatów helleńskich na nowożytną literaturę dramatyczną, porównanie pojedyńczych dramatów i historyków helleńskich ze sobą, są bardzo korzystnemi dla młodych umysłów, dla ktorych głównie nasz autor swą pracę przeznaczył, bo naklania je do samodzielnego myślenia.

Zwracając się ku literaturze rzymskiej, zastanawia się Minzloff naprzód nad porównaniem literatury rzymskiej z helleńską, co do oryginalności, objętości i wartości i podziela pod tym względem zdanie najpierwszych znawców starożytnych literatur, że Rzymianie Hellenów prócz prawnictwa w niczem nie prześcigli, a prócz historyografii w niczem im nie wyrównali a to głównie z tej przyczyny, że Rzym zwrócił całą swą uwagę na pierwiastek państwowy, na powiększenie się na zewnątrz, a jak to zwyczajnie bywa *inter arma silent musae.*

Do III wieku przed Chrystusem nie mieli Rzymianie żadnych pisarzy, dopiero pierwszy Livius Andronicus z Tarentu przerabiał i tłumaczył greckich liryków, komików i odysseję Homera. Przed nim istniały tylko

poezya ludowa i ustawy konstytucyjne. Za przykładem Andronika poszli Naevius i Ennius, Plautus i Terentius. Jako poeta dydaktyczny odznaczył się Lucretius, autor poematu *de rerum natura*, cenionego jeszcze i po dziś dzień przez mężów, jak Göthe lub Aleksander Humboldt. Z elegików rzymskich zasługują na wzmiankę Catullus, Tibullus i Propertius, dwaj ostatni znani także jako pierwowzory elegii Göthego.

Z poetów złotego wieku mówi Minzloff o Virgiliuszu, Ovidyuszu, Horacyuszu i o pomniejszych, jak Perzyuszu, Juwenalu, Marcyalu, Phädrusie, Petroniuszu, Apuleuszu, Lukanie i innych. Z prozaików wyżej od innych stoi wielostronny Marcus Tullius Cicero, a za nim idą retorowie Kwintilian, Pliniusz młodszy, filozofowie Lucyusz i Seneka, historycy: Cezar, Sallustyusz, Nepos, Liwiusz, Vellejus, Tacitus, Swetoniusz, Ammianus Marcellinus, geograf Pomponiusz Mela, lekarze i przyrodnicy: Celsus, Pliniusz starszy, Cato, Varro, Columella, ostatni trzej jako *scriptores de re rustica*, dalej architekt: Vitruvius, gramatycy: Terentius Varro, Donatus, Priscianus, fragmentyści: Aulus Gellius, Martianus Capella i ostatecznie prawnicy: Papinian, Ulpian, Gajus i inni pomniejsi.

O literaturze łacińskiej późniejszej słusznie autor nic nie wspomina, bo wówczas musiałby przedstawić niemal całą literaturę średniowieczną, lecz powinienby był wspomnieć o tych wielkich pisarzach chrześcyańskich, którzy jak Tertullianus, Ambrosius, Augustinus i inni jeszcze do świata starożytnego należą.

Wartość dzieła naukowego winna być oceniona według myśli autora, w jakiej on dzieło to pisał. Inaczej patrzymy na autora, który w dziele swojem nowe myśli podaje, nowe poglądy wprowadza, opierając się na własnych studyach archeologicznych nieznanych dotąd pisarzy poznać nam daje — a zupełnie inaczej na autora, który nie wydaje się wcale za autora oryginalnego, lecz opierając się na pracach oryginalnych, czyniąc z nich wybór według swojego sposobu widzenia, rezultat tej swojej pracy nie tyle dla krytyki, jak raczej dla nauki podaje. Praca Minzloffa należy do prac drugiego rodzaju. Lecz i te prace są różne według tego, czyli one zaznajamiają nas z środkami dającymi nam możność głębszego i gruntowniejszego studyowania przedmiotu, albo też tylko oryentują czytelnika w przedmiocie, nad którym się zastanawiają. Tak n. p. historya filozofii Ueberwega jest wyborną pracą pierwszego rodzaju, ona jest najlepszym drogoskazem dla każdego, ktoby się chciał zaznajomić i dokładnie zapoznać z historyą filozofii; ona sama nie zaznajamia z historyą filozofii, podaje tylko środki do tego. Takiej historyi literatury starożytnej niestety dotąd nie mamy w żadnym języku, taką i historya literatury starożytnej Minzloffa nie jest, ale jako dzieło drugiego rodzaju zaznajamiające z całością tego, kto z częściami dopiero, poznawszy całość, zapoznawać się chce, jest ono, pominąwszy wskazane powyżej usterki, zupełnie odpowiedne.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Pawlicki Stefan* dr. *Człowiek i małpa, ostatnie słowo Darwina, studyum.* Lwów. Seyfarth i Czajkowski 1872. Z gruntowną wiedzą przedmiotu rozstrzyga autor w pierwszej części przecząco kwestyę przemiany rodzajów, w drugiej omawia morfologiczne i fizyologiczne różnice między człowiekiem a najdoskonalszym organizmem zwierzęcym — małpą, wskazując na zupełne niepodobieństwo wspólnego ich początku.

LITERATURA. Właśnie wyszło w Lipsku długo zapowiadane i przepysznie wydane: „*Album Muzeum Rapperswylskiego na stoletnią rocznicę r. 1772, staraniem Władysława* hr. *Platera.* Nakładem J. K. Żupańskiego. 1872.“ Treść: Słowo wstępne *J. I. Kraszewskiego*; „Pomnik i Muzeum w Rapperswyl,“ *Wł.* hr. *Platera*; „Jeszcze Polska nie zginęła,“ wiersz rocznicowy przez *F. W.*; „Rok 1872.“ *Henryka Schmitta*; „Co jest naród i jakie jego warunki bytu?“ dr. *K. Libelta;* „Poseł męczennik, obrazek z ostatniego sejmu,“ *Jana Zacharyasiewicza*; „Angielskie dzieła i rozprawy historyczne o Polsce,“ *St. Koźmiana*; Poezye („List z Paryża,“ „Wolność,“ „Koniec epoki,“ „Do K...,“) *Teofila Lenartowicza*; Korespondencye *Adama* ks. *Czartoryskiego*; „Kochankowie ojczyzny,“ powieść poetyczna z XIII wieku, *Wład.* hr. *Tarnowskiego;* „Sto lat dobiega,“ obrazek *Pauliny Wilkońskiej;* „Trylogia o Krasickich“ z Secina, *Aleks.* hr. *Krasickiego*; „Szkółka wiejska,“ poemat *Seweryny Duchińskiej*; „Zabytki piśmienne i pamiątki narodowe polskie zrabowane przez nieprzyjaciół ojczyzny,“ *Ks. Polkowskiego;* Poezye („Słowa za Polską.“ „Głosy mogił,“ *Bronisława Zawadzkiego;* „Historya Rusi,“ *Stefana Buszczyńskiego;* „Lista wygnańców polskich do r. 1830,“ *Agatona Gillera.*

— W połowie Września wyjdzie tom III pisma: *Na Dziś.* Do końca Sierpnia można jeszcze składać prenumeratę w kwocie 6 złr. na pierwszą seryę, tj. dwa wyszłe i obecnie wychodzący tom. Po 1 Wrześniu cena księgarska wynosić będzie 8 złr. Polecamy raz jeszcze uwadze czytających to jedno z najpoważniejszych i najskrzętniejszych wydawnictw polskich.

— Wkrótce pojawi się nowy *Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu* i zawierać będzie między innemi Domejki: „*Studyum o filomatach i filaretach,*“ Kamińskiego: „*Wspomnienia z r. 1830,*“ Orpiszewskiego: „*Zebrzydowski,*“ dramat, korespondencyę *Stanisława Augusta*, jakotez *Joachima Lelewela z Karolem Sienkiewiczem*, biografię gen. *Różyckiego* itd. Wydawnictwo to zasługuje na szersze rozpowszechnienie w kraju.

HISTORYA. Dr. *August Mosbach* drukuje obecnie dzieło: „*Polnische Kriegsberichte. Ein Beitrag zur französisch-deutschen Kriegsgeschichte 1800—1813,*“ wykończa zaś równocześnie inną pracę: „*Stosunki między Polską a Rosyą od Piotra W. do Katarzyny II.*“

PEDAGOGIA. *Dzieduszycka z Jełowickich Anastazya.* „*Gawędy matki.*“ Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1872. Autorka znana z rzadkiej erudycyi i jasnego zapatrywania na rzeczy pedagogiczne, omawia w tem dziele kwestye wyższego ukształcenia kobiecego, nędzy kobiet pracujących, towarzystw opieki dla tychże, podając zarazem opis ciekawy niektórych urządzeń edukacyjnych w Anglii i Niemczech.

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. W teatrze *lwowskim* czynią przygotowania do świetnego przedstawienia tragedyi J. Słowackiego: „*Balladyna,*“ z muzyką H. Jareckiego. — *Aureli Urbański* napisał komedye: „*Bankruci.*“ — *Wł.* hr. *Koziebrodzki* napisał nową, bardzo dowcipną komedyę: „*Miłe złego początki.*“ — W wydaniu warszawskiem dzieł *Korzeniowskiego* drukują się dwie nieznane dotąd jego tragedye: „*Mieczysław*“ i „*Pelopidowie.*“ — *Jan Chęciński*, reżyser teatrów *warszawskich*, otrzymał dymisyę za postępowanie bez taktu z artystami; natomiast mianowani: reżyserem dramatu *Jan Królikowski*, komedyi *Ostrowski.* — † *Emil Devrient*, znakomity aktor niemiecki, umarł dnia 7 b. m. w Dreznie. — *Zdzisław Rutkowski*, uczeń akademii sztuk pięknych w Rzymie otrzymał medal za pracę konkursową. — *Wiktor Brodzki*, ukończył popiersie i posąg *Kopernika*, przeznaczone na przyszłoroczny obchód w Poznaniu i Toruniu. Popiersie wykonane podług obrazu Ghirlandaja. — *Leopold Steinman* w Warszawie wykonał biust *Moniuszki.* — *P. Godebski* wystawił w Paryżu, w pałacu przemysłowym, olbrzymią statuę: „*Wyswobodzenie,*“ wyobrażającą kobietę wznoszącą ku niebu ręce, na których jeszcze widać ślady krępujących ją do niedawna więzów.

Od redakcyi. Szan. Abonentom, którzy dotąd opóźniają się z ponowieniem przedpłaty, przypominamy, iż należy to uczynić w **najkrótszym** czasie, jeżeli nie chcą ucierpieć zwłoki w odbieraniu pisma.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.